

Innych kandydatur nie było. Możeby się i znalazły, ale cóż, kiedy zebrani mieli to przekonanie, że, jak na nic się zda płynąć wodą przeciw prądowi, tak równie daremnym jest sprzeciwiać się wyraźnej woli prezesowej Kasztalińskiej, jeżeli chodzi o „jej” komitet.

Łuniewski jednak głosował ostentacyjnie przeciwko kandydaturze Potyrowskiego, a Koszczyć wstrzymał się od głosowania.

Świeżo obrany skarbnik komitetu obrzucił młodych ludzi szybkim, dyskretnym spojrzeniem... Oczy błysnęły mu zielonawo, ale zaraz zwróciły się w innym kierunku.

— Proszę o głos!
— Pani doktorowa Tyssowska ma głos!
— W kwestyi zapytania! Ileż to dzieci znajduje się w „żłóbku” dla niemowląt, na dochód którego urządzamy „dzień kwiatka”?

Prezesowa nerwowo stuknęła sztyldkretową rączką w stół.

— Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć dokładnie. W każdym razie jest to bardzo pożądana liczba — odpowiedziała, a w głosie jej zabrzmiała chrypliwa, fałszywa nuta hamowanego gniewu.

— Wedle moich informacji liczba ta nie przekracza trzydziestu — ciągnęła z niewzruszonym spokojem Tyssowska — więc zapytuję, czy warto urządzać specjalnie „dzień kwiatka”?

— Jakto, pani uważa, że nie powinniśmy troszczyć się o „żłóbek”, ponieważ?

— Ależ, nigdy w życiu. Sądzę tylko, że daleko praktyczniej będzie, jeżeli wszyscy, jak tu jesteśmy zebrani, złożymy pewną kwotę na cele „żłóbka”. W ten sposób dzieci dostaną więcej, niżby im przypadło ze zbiórki po odrzuceniu kosztów urządzenia i wydatków administracyjnych, a nie będzie kłopotów żadnych, ani zachodów...

— Cóż znowu!
— Co za pomysł!
— Nigdy!
— To jest negacja wszelkiej działalności dobroczynnej!

— Poświęca się czas, pracę, energię, to chyba dosyć...

— Daje się inicjatywę...
— Ile się to ubrania zniszczy, ile bucików zedrże przy takim „kwiatku”, a to takie drogie — jęknęła pani Wichurzyna, obdarowana przez los tak zwaną „forrialką” córek.

— Nie można żądać za dużo...
— Każdy ma swoją rodzinę i swoje wydatki.
— Jeżeli kogoś ścieć na to...
— Proszę o głos!
— Proszę o głos!

Że wszech stron posypały się okrzyki protestu. Na sali wszczął się mały tumult. Członkowie komitetu zrozumieli, że Tyssowska zamierza dobrać się do ich kieszeni i bronili się zawiścią.

Projekt doktorowej zwalczano zajadłe, to też wniosek przepadł beznadziejnie, co wszakże wnioskodawczyni nie zdołało wyprowadzić z równowagi.

Czarne jej, niewielkie, żywe oczy miały taki wyraz, jakby ich właścicielka zanosila się od wewnętrznego śmiechu.

— Ależ, moja pani, ta Tyssowska to poprostu niebezpieczna wariatka — powiedziała pani Figurska do pani Wichurzyny. — Doprawdy, gdzie ten Tyssowski wykopał taką osobliwość? Gdzie on ją poznał?

— Mówią, że na uniwersytecie...
— To ona była na uniwersytecie?
— A podobno była!
— No, teraz to rozumiem! Studentka!!...

— Kiedy teraz to już takie czasy nastały z temi studjami. Moja Lutka także wybiera się na uniwersytet — wzrok pani Wichurzyny przesunął się z czułością po świeżej, energicznej twarzy panienki ze śmiałym, zadartym nosem. — Sama się przygotowuje do matury i już jakiś tam wstępny egzamin zdała... Żeby pani wiedziała, co to za zdolne dziecko i jakie pracowite!

— Jabył mojej córce nigdy na to nie pozwoliła!

— E! Bo pani nie masz czterech córek, tylko dwóch synów...

Przeszło pół godziny zajęła dyskusja o tem, jaki kwiatek ma być sprzedawany. Wymieniano najrozmaitsze okazy flory krajowej i zagranicznej, aż wreszcie po długich, chwilami namię-

tych sporach, wybór przechylił się na stronę skromnej, poetycznej niezapominajki.

Władek Koszczyć podał żartobliwy projekt, aby zamiast kwiatów sprzedawano ziemniaki, bo to będzie najbardziej na czasie i najpraktyczniej. On zobowiązuje się dostarczyć komitetowi cały korzec tego tak cennego obecnie specjału.

Biało-różowa panna Tosia, sąsiadka Koszczyca, przyjęła ten pomysł kaskadą głośniego śmiechu i swoim sakramentalnem: „Ach! Co też pan mówił!”

Prezesowa Kasztalińska uśmiechnęła się pobłażliwie i powiedziała:

— Oj! Was młodych żarty się trzymają, a tutaj chodzi o rzecz poważną, nie o żadne „hocki klocki”...

Pani Wichurzyna trąciła łokciem swoją średnią córkę.

— Helka — szepnęła — a zakręćno się zręcznie koło tego Koszczyca i zapytaj go, tylko tak, żeby Kożuchowska nie słyszała, po czemu to on te ziemniaki sprzedaje!

— Ależ, mamo, on tylko żartował!

— Tak?... Żartował!... A ja myślałam już, że przynajmniej coś z tego komitetu przyjdzie...

Teraz wysunęła się kwestya, czy owe niezapominajki mają być papierowe, perkalowe, czy jedwabne. Znowu ożywiona dyskusja, w której ostatecznie zwyciężył perkal. Tyssowskiej udało się wreszcie przeprowadzić swój wniosek, aby kwiatów nie sprowadzano z Wiednia, jak to było początkowo w planie, ale zamówiono je w lykowskiej pracowni.

— Teraz przystępujemy do rozmieszczenia stolików...

Pośród pań dało się zauważyć żywe poruszenie. Kilkanaście par oczu zwróciło się ku prezesowej.

Pani Kasztalińska wprowadziła bowiem rządy despotyczne i podczas rozlicznych „kwiatków” i „zbiórek” nie zapytywała nigdy, gdzie która z dobroczynnych dam życzy sobie umieścić swój stolik, ale sama decydowała w tej kwestyi.

Wiedziała z doświadczenia, że panie chciałyby wszystkie rozlokować się na „deptaku”, a panienki pragną uwijać się z puszkami li tylko po najgłośniejszych, najbardziej ożywionych ulicach.

— Pani Kożuchowska z córką i z panną Wisią Wichurzą koło kościoła parafialnego...

Rozpromieniła się twarz pani Kożuchowskiej. Taki doskonały punkt! Tylko, po co ta Wisia? Takie to zalotne, wygadane i choć w domu bieda aż piszczy, tak się zawsze umie jakoś wystroić! No, ale trudno!... Z prezesową niema co zadziierać!

— Panie dobierają sobie same panów — zdecydowała Kasztalińska i mówiła dalej — Rynek: pani Żarnicka z córką i synową...

Pani Żarnicka, która dotychczas spokojnie notowała uchwały, wstrzymała rękę i przestała pisać.

— Przepraszam panią prezesową... Małe sprośowanie... Synowa moja w „dniu kwiatka” udziału czynnego nie weźmie.

Lola zerknęła z pod rzęs na Łuniewskiego, który przestał nagle mrużyć oczy.

Prezesowa tak się zadziwiła, że aż zapomniała o swoim „lorgnon”.

— Dlaczego to, droga pani, dlaczego? Przecież ten jej ból głowy nie będzie wieczny!...

— Poprostu nie ma ochoty. Nie można jej przecie zmuszać!... — odpowiedziała Żarnicka bez cienia zakłopotania, chociaż czuła na sobie zaciekawione spojrzenia.

— Namówimy ją, namówimy!

— Nie da się namówić, zaręczam pani.

— Jakto, nie usłucha świekry? — indagowała Kasztalińska. — Czyżby była taka uparta?... Jakoś mi na to wcale nie wygląda!...

Pióro w palcach Żarnickiej drgnęło prawie niedostrzegalnie.

— Sądzę, że dyskusja na ten temat jest zupełnie jałowa i szkoda na nią czasu. Bez synowej mojej obejdzie się „kwiatek” wyśmienicie, a ja jej przymuszać nie chcę i nie mogę...

Ale Kasztalińskiej nie tak łatwo było wydrzeć ofiarę, którą sobie upatrzyła. Nie lubiła zresztą ustępować, a między nią i Żarnicką oddawna już istniała starannie ukrywana, głucha niechęć.

Prezesowa nie uwierzyła w rzekomą odmowę Józii i, domyślając się, że Żarnickiej zależy specjalnie na tem, aby synowej na szerszą widownię towarzyską nie wysuwać, postanowiła tem więcej postawić na swoim.

— Ano! To chyba spróbuję ja szczęścia u tej młodej, a tak widocznie upartej jejmości... Już-bym też chyba nie była sobą, żeby mi się jej nie udało wciągnąć!...

Świekra Józii musiała użyć całej swej siły woli, aby się opanować i nie zdradzić gniewu, którym wewnętrznym wrzała.

Kłós zaśmiał się prawie głośno. Na wielu twarzach widać było znaczące uśmiechy. Lola rzuciła matce wymowne spojrzenie.

Pani Żarnicka zrozumiała, że dalszy opór jest śmieszny i będzie tylko wodą na młyn plotkarek lykowskich. Znała dobrze Kasztalińską i wiedziała, że jeżeli ta zabije sobie jakiego „świeka” w głowę, to nie cofnie się przed żadnym środkiem, prowadzącym do celu.

To też — chociaż chętnie rozbiłaby o głowę pani Kasztalińskiej stojący przed nią kałamarz, pełny atramentu — zdecydowała się jednakże wycofać z honorem i ustąpić, przynajmniej na razie.

— Pani prezesowa — wyrzekła ze słodkawym uśmiechem — doprawdy niedoścignioną jest w swojej gorliwości w służbie społecznej... I wszystkich chciałaby pani zaprzęgnąć!...

— Bo tak być powinno! Wszyscy! Wszyscy do pracy!... To na biednych!... Na sieroty!... Na niemowlęta!... To święty obowiązek dopomódz im!...

— Uznaję to w zupełności i dlatego postaram się wpłynąć na synową... Może... może mi się uda!...

— O, uda się pani napewno! — zapewniała Kasztalińska ze złośliwym uśmiechem. — Więc pani przyrzeka nam w imieniu synowej!...

— Warunkowo... o ile ona się zgodzi!...

— A dlaczegożby się zgodzić nie miała?! Do czego to podobne, żeby taka młoda kobieta zupełnie się odsuwała!... No, uważam to za załatwione!... Idziemy dalej!... Pani Wichurzyna pod pocztą... pani Figurska koło „Sokoła”... pani Mizerska... ulica Trzeciego Maja!...

Wieczór był bardzo ciepły, duszny, parny, kiedy członkowie komitetu „dnia kwiatka” powracali do domów z posiedzenia.

— Uważałeś, Tosiu — mówiła pani Mizerska, uczepliwszy się ramienia swego, o wiele od niej niższego wzrostem męża — że ta Tyssowska robi się poprostu niemożliwą!... Ja dziwię się, jak ten mąż jej pozwala!... Co prawda, to i o nim także różne rzeczy mówi!...

— O Tyssowskim?... — zdziwił się mąż — O nim chyba wszyscy jedno tylko mówią, że to tęga głowa i porządny człowiek!...

— Ja słyszałam, że on jest socjalistą!... czy anarchistą!... czy czemś tam jeszcze gorszym!...

— Ee!... Nie opowiadaj!...

— No, ale ona to już napewno do jakichś „masonów” należy!... Pomyśl sobie, czego jej się znowu zachciało!... Żebyśmy sobie same stoliki dekorowały!... Przy takiej drożyzni!...

— Chociaż wiesz, tak właściwie... te kilka koron na kwiaty!...

— Naturalnie! To jest praktyczność męska!... Tybys takim gospodarowaniem wnet puścił żonę i dzieci z torbami!... Ja nie będę pieniędzy wyrzucała za okno!...

— A któż ci też każe wyrzucać pieniądze za okno?...

Pani Wichurzyna z panią Figurską powracały razem, omawiając szczegóły zebrania. Przodem postępowały cztery panny Wichurzanki w towarzystwie jednego tylko kawalera, magistra farmacji, pana Fitasiewiczza, który w dodatku odznaczał się tak niezwykle małym wzrostem, że prawie ginął wśród czterech rosnących, bynajmniej nie eterycznych dziewcząt.

— Moja pani, ta Kasztalińska, to rządzi się, jak szara gęś!...

— A rządzi się!...

— Już się zwachała z tą plotkarką Kożuchowską!... A zauważyła pani, jak ta Micia leci na tego Potyrowskiego!... Ale on nie głupi!... Bo to i brzydkie, i prefensjonalne, i stare już!... Micia urodziła się w roku... poczekajno pani!... niech sobie przypomnę!...

Pani Wichurzyna westchnęła z cicha. Ona dobrze pamiętała, że Micia ma tyle lat, ile jej najstarsza córka.

Z innej znowu strony płynął szepł:

— A to się Kasztalińskiej udało z tą Żarnicką!...

— Pyszne było!...

(Ciąg dalszy nastąpi).